

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

14-20 grudnia 2004 r.

NR 12 (21)

1. Z kart przeszłości – ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. Ze wspomnień – przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z dziejów Konina – artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. Tworzyli wizerunek miasta – sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. Naszym zdaniem – wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. Inspiracje kulturalne – poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z życia TPK – zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. Barwy codzienności – podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
9. Odpowiedzi redakcji
10. Oko w oko – konkursy ze znajomości miasta dla Czytelników
11. Inne – tematy inne niż wymienione powyżej

Drodzy poszukiwacze podchoinkowych prezentów

Prosimy trochę odetchnąć od przedświątecznej bieganiny i chociażby na chwilkę, dla relaksu, przegłądać „Koninię”. Staraliśmy się zamieścić jak najwięcej materiałów związanych ze świętami bożonarodzeniowymi - niech będą to nasze prezenty pod świąteczne drzewko.

Polecam pełne świątecznych zapachów urywki z opowiadania Zygmunta Kowalczykiewicza, właśnie pt. „Dni wypełnione zapachami” („Konińskie świętowania”). W książce przepisy kulinarne są tak dokładne, że spokojnie można poeksperymentować w kuchni. Zachęcam również do zapoznania się z ostatnią książką p. Zygmunta „Konińskie epizody” - recenzja na ostatniej stronie.

Z okazji świąt znajdziecie Państwo wywiad z samym Mikołajem. Niebawem sposobność, aby podejrzeć ciekawe życie „świętego”. Artykuł polecam nieco starszej generacji konińskich hutników - powszechnominajcie!

Janek Sznajder trochę wybrzydza na zbyt nowoczesną formułę świąt, aby nie przeszło mu to narze-

kanie w permanencję, ale chyba ma sporo racji. Myślę jednak, że usatysfakcjonuje go przepiękny wiersz Wenedy o takich właśnie świątach, jakie mu się marzą. Wiersz - to oczywiście kolejny prezent pod choinkę od Janiny Perathoner dla Czytelników.

Witam serdecznie na łamach pana Kazimierza Millera, jednego z wnikliwszych znawców historii konińskiego harcerstwa. Dzisiaj pisze o Wigili 2. pp Legionów Polskich na Węgrzech oraz przypomina kapelana tegoż pułku o. Władysława Antosza. Postać bardzo ciekawa i warta przypomnienia koninianom.

Z historii prawie współczesnej wspomnienia pana Zdzisława Grabowskiego. Praca pełna humoru i celnych obserwacji jest pokłosiem ogłoszonego wcześniej konkursu przez Towarzystwo Przyjaciół Konina.

Leszek Hejman tym razem raczy nas garścią ciekawostek z przeszłości naszego miasta.

Tak kończymy stary rok - do zobaczenia w nowym - bez kłopotów i w zdrowiu.

Pozdrawiam świątecznie
Stanisław Sroczyński

Janina Perathoner (Weneda)

dom pachnie pastą do podłogi
grzybami i ciepłym ciastem
mama nasuwa na szufelkę
żarzące węgielki
sypie na nie igliwie i cukier
chodzi po mieszkaniu
kadzi je słodkim zapachem boru
ojciec myje się i wkłada
czystą koszulę
ostatnie cacka na choinkę
i biegniemy do okna
jest - jest pierwsza gwiazda
siadamy do białego stołu
ojciec lamie oplatek
ogarnia nas wzruszenie

przypominam sobie wiersz mistrza Ildefonsa
recytuję wzruszonym głosem

„Śnieżek prośszy. Na niebie
coraz to ciemniej,
lecz i słodziej, i ciszej:
w tobie i we mnie
święta Wieża Mariacka
świeci jak święte cacka,
odpuśćmyż sobie winy
wszyscy wzajemnie.”

Dni wypełnione zapachami

W okresie Bożego Narodzenia posiłki nabierały większego znaczenia niż w pozostałe dni roku. Otaczał je nimb niezwykłości i podniosłego rytuału. Już na parę miesięcy przed świętami robiono zapasy grochu, maku, grzybów, buraków, kaszy, suszu owocowego, powideł śliwkowych i wielu innych składników niezbędnych do sporządzenia potraw.

Na miesiąc przed godami za oknami mieszczanskich domów smętnie zwisały martwe zające. W pojedynkę, względnie w wianku przepiórek, kuropatw i bażantów. Wszystko, by mięso „zwietrzało”, pozbyło się przykrego zapachu dzicyzny. Na obrzeżach miasta, gdzie stały parterowe domki, szaraki i ptactwo przechowywano w nie ogrzewanych pomieszczeniach gospodarczych, w miejscach, gdzie domowy burek lub kocur do nich nie mógł się dostać

Bliżej świąt gospodynie sprawny-

mi rękoma wyrabiały ciasto na łazanki, kluski i makarony. Potem suszyły je na stole przykrytym lnianym płótnem, względnie papierem. Bywało, że dzieciaki uprosiły mamę, aby dała im okrawek surowego ciasta, który położony na blacie kuchni węglowej po upieczeniu smakował, że hej!

Innym ważnym zadaniem poprzedzającym święta to przygotowanie ciasta na piernik. Najpierw łączono miód z cukrem, masłem lub smalcem. Składniki, ciągle mieszając, podgrzewano prawie do wrzenia. Potem odstawiano do całkowitego schłodzenia i kiedy już to się stało, do miodowej masy dosypywano mąkę, wbijano jajka, wlewano nieco sody rozpuszczonej w zimnym mleku, szczyptę soli, przyprawy piernikowe, pokruszone orzechy włoskie, migdały i rodzynki.

Przedświąteczne dni biegły szybko. Nadszedł czas na robienie pasztetu z zająca. Aby go wykonać gospo-



Images Copyright © 2000 Digital Touch

dynie potrzebowały jeszcze mięso wołowe, wątrobę, boczek, suszone

grzyby, tuszcz i przyprawy. Każda pani domu, każda kucharka miały swoje tajemne sposoby na proporcjonalne połączenie składników. Dodawano jajka, wyrabiano masę, wkładano do wysmarowanej tuszczem brytfanny i pieczono w średnio nagrzanym piekarniku.

Ciasta pieczono na dzień lub dwa przed Wigilią. Ulubionym przysmakiem koninian był makownik lub jak w mieście się mówiło - makowiec. Do ciasta drożdżowego dodawano farsz makowy z miodem, wanilią, rodzynkami, niekiedy z orzechami i migdałami. Zwinięte w rulon ciasto po trzech kwadransach pieczenia było gotowe, a w domu rozniósł się słodki zapach drażniący powonienie.

To nie koniec przedświątecznych zmagañ z garnkami, patelniami i piekarnikiem. Trzeba było pamiętać o sprawieniu ryb, namoczeniu grochu, zrobieniu uszek do zupy, a także o bigosie, pieczonym schabie, gotowanej szynce. Bo po postnej wiecezry następowały dwa dni świąteczne wypełnione spotkaniami rodzinnymi i sąsiedzkimi.

Opisując bożonarodzeniowe kulinarne trzeba pamiętać o arsenale kuchennym. A to o dużych i małych garnkach, rondlach, rynienkach, formach, sitach, cedzakach, warzawkach, kopyściach i tak dalej. A wszystkie te narzędzia gromadzono przez pokolenia.

Zygmunt Kowalczykiewicz

Ze wspomnień

Pasterka księdza Władysława Antosza

Od 1923 roku związany z Koninem, a dokładniej z klasztorem ojców Reformatorów ks. Patrycjusz Władysław Antosz, w latach pierwszej wojny światowej pełnił funkcję kapelana w 2. pp Legionów Polskich. Ze wspomnień Augusta Krasickiego, autora książki „Dziennik z kampanii rosyjskiej 1914-16”, dowiadujemy się, że w grudniu 1914 roku 2. pp znajdował się na froncie na pograniczu węgierskim i Galicji gdzie toczył zacięte boje z Rosjanami. Walki umilkły w przeddzień Bożego Narodzenia. Autor zanotował „Dziś Wilia. Ale jakże niepodobny dziś ten dzień do dni wigilijnych, które wspominał. Na dworze pochurno i mglisto, zamiast śniegu błoto obrzydliwe. Zamiast domu rodzinnego i rodziny kwatery wojenna i otoczenie wojenne.

Pozycje zdobyte przez naszych w ostatnich dniach są utrzymane. Mo-skale siedzą cicho, nasi też się nie ruszają, na święta mamy cichy rozejm. Na Wilię dzisiaj wjeżdżają we wszystkich oddziałach robią przygotowania. Kompania sztabowa ustawiła w ogrodzie, obok naszej leśniczówki z desek rozbranych zabudowań, rodzaj altany, a w niej stoły z desek. Całość udekorowano gałęziami świerczyny. Dookoła rozpalono ogniska, a gdy zabłysła tradycyjna pierwsza gwiazdka, zgromadzili się wszyscy oficerowie i żołnierze wolni od służby i zasiedliśmy do wspólnej Wilii. Były opłatki przysłane przez Naczelny Komitet Narodowy. Generał Durski miał ładną przemowę i łamał się ze wszystkimi opłatkiem. Wieczera wigilijna była bardzo

skromna - barszcz zabieleny, ryba smażona i kompot ze śliwek suszonych, pierogi z kapustą i jabłkami, czekolada przysłana także z NKN. W części oficerskiej ustawiono choinkę ładnie przyozdobioną i oświetloną. Oficerom sztabowym wręczono upominki zakupione z pieniędzy zaoszczędzonych z menaży, każdy otrzymał to co potrzebował. Śpiewano koledy chórem, jedną ułożoną przez kaprala Józefa Mączkę, na znaną nutę. „W dzień Bożego Narodzenia Radość wszelkiego stworzenia...”, której ostatnia zwrotka odnosiła się do Boga, aby dał nadzieję na rychłe zwycięstwo:

„Panie Jezu Dziecię male / Daję nam zwycięstwa chwałę / Niech w żołnierskiej tej koleżdy / Chwała wieczna Tobie będzie”. W kolejnych wcześniej-



zdj. - archiwum K. Miller

deszcz akompaniują mszy świętej, którą celebrował ks. Antosz, kapelan pułkowy 2. pp Legionów Polskich. Nabożeństwa słucha kilkunastu oficerów i „kupa” legionistów. Nastrój panuje poważny. Niejednemu łza kręci się w oku. Wszyscy są myślami przy swoich ukochanych. Uczucia te wzmacnia potężny śpiew legunów „Wśród nocej ciszy”. I wówczas niebo, jakby na osłodę tułaczom, zaczyna się wypogadzać i wkrótce pokrywa się miliardami gwiazd. Nieprzejrzysta zachowuje się spokojnie. Dopiero pod koniec mszy rozpoczyna ogień artyleria rosyjska.

Ksiądz Władysław Antosz odbył z pułkiem cały szlak bojowy aż do 1920 roku. Rok później osiadł w Koninie sprawując przez dwa lata funkcję gwardiana klasztoru oo. Reformatorów, potem wikarego w konwencie zakonnym do 1939 roku. W tych latach zajmował się nauczaniem religii w konińskich szkołach oraz był kapelanem Szkoły Podoficerskiej dla Małoletnich nr 1. W 1934 roku, w rocznicę 30-lecia kapłaństwa, władze Konina nadały mu tytuł honorowego obywatela miasta. W tym samym roku objął zaszczytną funkcję prezesa Oddziału Związku Oficerów Rezerwy w Koninie. Zmarł w 1966 r.

Kazimierz Miller

Bosonogie szczęście, czyli oczami trzynastoletka

Konin jaki pamiętam? Konin? Jaki Konin! *K u n i n ! „Przeci kto nie miszko na Armii Czerwony, Dumbroski, Wodny albo Kolski tyń nie miszko w K u n i n i e”*. Tak się właśnie mówiło. Prosto, jasno i po polsku. Ale nade wszystko szczerze po „kunińsku”. Do dziś jeszcze starzy, rowdowicy „kuniniacy” tak właśnie między sobą mówią. Dla nich Konin, wbrew wszelkim podręcznikom, mapom czy napisom zawsze był, jest i pozostanie „K u n i n e m”.

(...) Do dziś emerytowany, doświadczony, wiolelni dyrektor jednego z wielkich zespołów szkół średnich w Koninie, nauczyciel, magister inżynier tak właśnie w swobodnych, przyjacielskich rozmowach z kolegami „godo”, sądząc, że inaczej przyjaciele mogliby się oburzyć, poczuć urażeni, że się nadmiernie wywyższa „bo przecie razem z nimi boso za lorkietrum lotol i koszule w zymbach trzymol”. Może nawet, wysławiając się poprawnie, nie zostałby dokładnie zrozumiany przez tych, dla których koń to zawsze był *kuń*, gawron, wrona czy kawka to *glapa* i *żaden z nich nie uwierzyłby nigdy w życiu, że Chorzyń to kiejś tyż bydzie Kunin*.

(...) Dla wszelkiej konińskiej dzieciarni, tej powojennej z ubożuchnych i smutnych lat pięćdziesiątych, bosonogiej od wiosny do jesieni, biegającej w lada jakiej koszulince i krótkich porciętach na jednej szelce, bo druga byłaby już absolutnie zbędnym luksusem, tych nastolatków z „Hajmatu, Przydziałek, a nawet Placu Stalina, Wolności, ulicy Staszica, Kościuszki czy Mickiewicza, z „Kap-kazu”, „Budziarów”, „Harcówki” czy „Magistratu” ich *Kunin*, był całym światem. Rzeka Warta wielka, groź-

na i tajemnicza, obrośnięta niezmierną, dziką wiklinową dzungłą nie do przebycia. Nadwarciańskie błonia nieogarnięte jak ocean. Kościół farny tak ogromny, że wprost niemożliwy do zbudowania, ratusz wysoki, piękny, poważny, ale z wiecznie psującym się zegarem. I już wtedy zasmakowane gówniarstwo wiedziało o dowcipie, że zegar ratuszowy nie chodzi i nie bije tylko dlatego, aby burmistrza w czasie pracy nie budził. Tak samo znało dobrze ten kuniński kawol, że białego bułanka z tarczy miejskiego herbu raz w roku uroczyste z ratusza zdejmują, z procesją za miasto odprowadzają, aby mógł się spokojnie wysrać, pobrykać i popaść na błuniach... *A w ogóle kuni w Kuninie było w tamtych czasie mnóstwo i korzystały lone z wszelkich praw i należytygo szacunku. Nie tak jak dzisiaj*.

Bez najmniejszego trudu wróżące sobie podrostki płci męskiej wędrowały w ciągu tygodnia, najdalej dwu naliczyć 99 siwych koni, 99 bab w ciąży i 99 facetów w okularach, aby najbliższej nocy wyśnili im się narzeczona... Co najmniej setka koni przybywała na miejskie targowisko dwa razy w tygodniu i nikomu nawet do głowy nie przyszło postawić choćby jeden, najmniejszy znak zakazu wjazdu do Konina dla koni... Choćby tylko ze względu na przepiękną legendę o powstaniu miasta i jego nazwy. I nie było wówczas ani jednej taksówki, za to kilkanaście konnych dorozek, kursujących najczęściej od dworca PKP w Czarkowie do Kunina *za pińc złotych* bez bagażu i *za sidym* z bagażem.

Bosonoga latem, a zimą biegająca w drewnianych trepkach lub zelowanych wielokrotnie buciurach, ta kil-

ku i kilkunastoletnia konińska dziecięca zbieranina nawet w największe mrozy parująca w krótkich portkach, ale za to i w grubych, szarych pończochach powypychanych długimi aż do kostek gaciami, nie miała nawet zielonego pojęcia dlaczego akurat w tym konkretnym miejscu los, przypadek, jakiś władca czy sam Bóg Wszchemogący zdecydował, że stało się miasto... Wystarczyło im, że jest i nie czuli żadnej potrzeby analizowania dlaczego, po co, akurat tu i takie, a nie inne... Żyli pełnią swego szczęcenia życia, choć jak nigdy nędznego, bo powojennego, tak jak i reszta kraju, borykającego się z pokonaniem skutków totalnie wyniszczającej, najwściebniej hekatomb w dziejach świata.

(...) Był w Koninie leśny *stadium*, a właściwie ogrodzone, ledwie pełnowymiarowe boisko do gry w piłkę nożną, ale za to z prawdziwymi stadionowymi ambicjami i wierną publicznością. Rywalizowały w śmiertelnych zmaganiach dwie fantastyczne *kunińskie* drużynyki „Spójnia” i „Gwardia”. Co prawda nie była to żadna liga, ale mecze były na co najmniej europejskim poziomie. Miasto wtedy pustoszało. Główne szlaki spieszących na stadion wiodły przez park od strony Mickiewicza i ulicę Leśną od strony Kościuszki i Staszica. Ten drugi szlak był jednocześnie trasą powrotu z nadzecznych patwisk miejskich krów. Krowy były inteligentne, bo każda od skrzyżowania Kościuszki i Mickiewicza już samodzielnie zmierzała do swojej obory. Cała droga przez to była swo- „okraszona” świeżutkimi krowimi „plackami”. Śpieszące na stadion rzec-

z gracją omijały te krowie „pamiętka”. Tylko bosonoga, osłepła z emocji i pragnienia obejrzenia meczu dzieciarnia niewiele na krowie „kwiatki” zważała. Dlatego nader często zdarzało się temu czy owemu wdepnąć w to coś, aż mu świeże gównienko strzyknęło efektywnie między palcami. Tak się to pięknie realizowało szczęśliwe dzieciństwo niejednego z przyszłych konińskich dyrektorów, inżynierów, magistrów, nauczycieli. Lecz jakież mogło mieć znaczenie wdepnięcie choćby i w największe krowie lajno, kiedy po zrzecymy omińciej wszystkich kontroli przy bramach, można było własnymi oczami ujrzeć piłkarzy. Ci w swoich wspaniałych kostiumach i piłkarskich, skrzypiących tepach jawili się dziesięcio-trzynastolatkom jak bajkowi, wręcz nierealni, fenomenalni gladiatorzy. Gdy wybiegali na boisko kolorowymi szeregami i gromkimi okrzykami pozdrawiali publiczność oraz siebie nawzajem, aż dreszcz najwyższej emocji przebiegał po grzbiecie wszystkich dygoczących z emocji szczeniaków. A grali chłopcy jak te szatany. Niezapomniane są nazwiska stopera „Spójni” Lubańskiego i Bonifacego Szymczaka. A inni jak „Maszynka”, „Złoto Nóżka”, bracia Mikowie, „Kaban” to istne herosy *kunińskiej piłki nożny*...

Zdzisław Grabowski

Powyższy tekst jest fragmentem większej całości nadesłanej przez autora na konkurs „Konin jaki pamiętam”, ogłoszony w 1998 roku przez Towarzystwo Przyjaciół Konina. Autor otrzymał pierwszą nagrodę. Cała praca ukaże się w 15 tomie Rocznika Konińskiego. (redakcja)

Dariusz Walory, Przyłubie

„Święta 2003” kiedy już zasiadziemy do ugiętego stołu gdzieś na dworcach w bidulach tam gdzie żyje się skromnie przełamywane będzie słowo zapowiadające nadejście nowej nadziei

Konin odnaleziony

Szukałam swojego miejsca takiego którego zawsze opowiej moją historię

próbowałam je wyobrazić sobie przeczuć odnaleźć na mapie wyśnić choć raz opisać

życie przywiodło mnie do Konina i już wiem

najważniejszym miejscem na ziemi jest to w którym odnajdujemy siebie

dziękuję ci, miasto dziękuję ci, życie...

Wiersze nadesłane na XXIV edycję konkursu „Milowego Słupa”

Z dziejów Konina



zdj. - Szymowski

Ostatni taki św. Mikołaj, co uczył dzieci kochać ptaszki

- Drogi święty Mikołaju, czy nie uważasz, że może nadeszła już pora, żeby zajrzeć Ci pod tę piękną, siwą brodę i sprawdzić ile pozostało jeszcze tej świętości.

- **Bardzo proszę, myślę, że teraz z każdym dniem, z przyczyn oczywistych, przybywa mi świętości proporcjonalnie do lat.**

- No właśnie, ile właściwie już lat przynosisz konińskim dzieciakom te oczekiwane prezenty?

- **Sam z trudem mogę w to uwierzyć, ale już dobre 40 lat dźwigam ten worek pełen tajemnic.**

- O ile dobrze pamiętam, to sam „Hutnik” odwiedzałeś prawie przez 30 lat, a w każdym roku odbywało się około 20 imprez. Może spróbujemy to policzyć.

- **Ja już kiedyś to liczyłem. Wyszło w dużym oczywiście przybliżeniu, że brałem udział prawie w 700 imprezach i spotkałem się z prawie 70 tysiącami dzieci.**

- To niesamowite - czy można coś w ogóle zapamiętać po tylu spotkaniach?

- **Wyobraź sobie, że tak. Ja nawet rozpoznawałem uczestniczki pierwszych spotkań, gdy po latach przychodzili ze swoimi dziećmi i bawili się razem z nimi jak przed laty. Ale największą radość odczuwałem, widząc jak wspaniale bawili i uśmiechały się dzieci specjalnej troski, które przyprawiała pani Lucynka Michalska.**

- **Jak świetnie reagowały dzieci z odległych zakątków województwa przywołane przez Krysię Chowańską.**

- To naprawdę imponujące - ale jak sobie radziłeś z tą gromadką roz-

brykanych zabawowiczów.

- **Oczywiście sam bym nie poradził - na szczęście nad całą czeredą czuwała Ulka Mirochowa. To ona potrafiła tak je wymęczyć zabawami, że z trudem wytrzymały do momentu rozdawania paczek. Oczywiście pomagało nam bardzo wiele osób - wspomnę może jeszcze o Mirce Ciechanowskiej i Czesi Szczepaniakowej - czyli o tych, co byli od pierwszej do ostatniej imprezy.**

- Myślę, że i dla Ciebie te spotkania były jakimś dopingiem. Wyglądasz świetnie, a sylwetki tylko pozazdrościć. Chciałbym jeszcze dodać, że cierpliwie przez te wszystkie lata przypominałeś dzieciom o dokarmaniu zimą ptaszków. Dzięki tobie pewno tysiące tych stworzeń przetrzymało zimę.

- **Miło mi to usłyszeć, to satys-**

fakcjonujące, że zrobiło się coś w życiu, o czym ludzie pamiętają.

PS Z przyjemnością wyjaśniam, że moim rozmówcą był pan Zbigniew Chmielewski - koniński hutnik z legitymacją służbową nr 1 (sic!). Zbyszek był wieloletnim pracownikiem admini-

stracyjnym i służb socjalnych huty.

Niech wywiad ten uświetni obchodzoną przez Niego przed paroma dniami osiemdziesiątą rocznicę urodzin. Niech będzie również podziękowaniem za jego drugie wcielenie - żyj Zbyszku 100 lat i jeszcze trochę.

Stanisław Sroczyński



zdj. - archiwum

Hej kołęda, kołęda

Starzy ludzie bywają upierdliwi. Jako że wiek mój upoważnia do szukanania dziur w całości, pozwolę sobie ponarzekać. Zdaję sobie sprawę, że właściwie odchodzącemu pokoleniu utyskiwania, zaczynające się od „za moich czasów...”, klasyfikują mnie w rzędzie starych dziadków, których przerastają problemy współczesnego świata. Niech i tak będzie.

Zacznę od świętowania Bożego narodzenia. Drzewiej inaczej bywało. Gdzie się podziały pachnące żywicznym lasem choinki? Gdzie cacka z wdmuszek jaj i kolorowych papierów, zdobione świerkowe gałązki? Gdzie lukrowane pierniczki, krajane w gwiazdki, serca i półksiężycy, zwisające ze świątecznego drzewka? Gdzie wreszcie krąg rodzinny, z rękoma upranych klejem z kasztanowej maki, którego uczestnicy, długimi, ciepłymi wieczorami przygotowywali owe, wymagające przeciw inwencji twórczej, ozdoby? A siano pod obrusem wigilijnym? A pęłające ogniki świec?...

Świerkowe drzewka coraz częściej zastępują plastikowe choinki. Sterylne i praktyczne, bez kłopotliwych, sypiących się igieł. Można wokół takiej choinki rozpylić żywiczne zapach w aerozolu. Przemysł ulepsza świat, imitując rzeczywistość. Niech nikt nie mówi, że wycinanie młodych świerczków powoduje dewastację lasów. Myśmy już poczynili w lasach takie spustoszenie beżmyślną i rabunkową gospodarką, że rozsądnie zaplanowana przez leśników wycinka nie uczyni żadnych dodatkowych szkód.

A więc mamy Wigilię. W kącie sztuczna choinka. Wiszą kupione w sklepach ozdoby. Unosi się zapach rozpylonej żywy. Elektryczne lampki imitują świece. Na stole na sztucz-

nych komponentach wyhodowany karp i ciasta z renomowanej cukierni. Z telewizora płynie kołęda, bowiem i tu zadbano żebyśmy nie musieli wysilać własnych głosów. Za oknem, jak

światła Las Vegas kolorowe neony reklamujące Boże Narodzenie. Narodził się nam McDonald's.

Ktoś powie, że czarno widzę, że są domy, w których Święta przebiegają jak za ojców i dziadków. Pewnie są, ale, kochani, jesteśmy już w mniejszości... Paradoxs naszych czasów polega na tym, że technika ułatwiająca nam konsumpcję świata, staje się Kronosem pożerającym własne dzieci.

Ale ja nie o tym chciałem pisać. Znany satyryk, Jan Stanisławski, nazywający siebie „profesorem mniemologii stosowanej”, prowadził przed wieloma laty cykl felietonów radiowych i telewizyjnych, czyli tzw. wykładów na temat wyższości Świąt Wielkiejnocy nad świętami Bożego narodzenia. W dowcipnej formie podawał wiele słusznych spostrzeżeń, choć w założeniu, już sam tytuł wykładów sugerował bezsens takiego stawiania sprawy, czyli - mówiąc inaczej - przelewania z pustego w próżne. Jest jednak w tym hieratyzowaniu obu świąt coś na rzeczy. Ewidentna jest różność obu świąt. Jedno jest świętem narodzin, drugie - pokonaniem śmierci. Jedno odwołuje się do naturalnych zjawisk egzystencji: porzeczcia, macierzyństwa, rodziny. Drugie nie godzi się na zastanie prawa natury. Pierwsze jest zachowawcze. Drugie jest buntem. Wydaje mi się, że wszystkie dalsze porównania wynikają z tych dwóch postaw. Święto Bożego Narodzenia jest świętem żeglarczy wracających do portu, Peer Gynta wracającego do Solweje, jest świę-



tem ciepłego kąta, sentymentu i małej stabilizacji. Wielkanoc jest dla tych, którzy wyruszają na morze, dla wędrowców, gnanych ciekawością świata, jest świętem niepokoju i intelektualnego wyzwania...

Takie to grudniowe myśli snuły mi się po głowie w przeddzień święta Bożego Narodzenia i dla wielu trudnego Nadchodzącego Roku. Chciałem nimi podzielić się z Czytelnikami „Koninianów”. Niech będą wiatrem w żagle dla tych, co na morzu i uspokojeniem dla tych, co zasiądą do Wigilijnej Wieczery.

Jan Sznajder



3x - Images Copyright © 2000 DigifTouch



Z dziejów Konina

Rok 1955

Dużo wiedzy o dziejach naszego miasta daje lektura dawnej prasy. Poznajmy ważniejsze wydarzenia, jakie miały miejsce w 1955 roku.

W styczniu przy Cechu Rzemiosł Różnych powstał chór mieszański, który wkrótce wystąpił w mieście, potem w podkonińskich miejscowościach.

W marcu na zebraniu konińskiego oddziału PTTK prelekcję na temat najdawniejszych dziejów miasta i powiatu konińskiego wygłosił Edward Dąbrowski, prelegent z Poznania. Na posiedzeniu Prezydium MRN zapadła decyzja o utworzeniu w Koninie Muzeum Regionalnego. Zgromadzone przez członków PTTK ponad 1500 eksponatów dało początek muzeum. Otwarcie w sali przy

ulicy Wiosny Ludów 7 nastąpiło 1 maja.

Przy Przedsiębiorstwie Robót Inżynieryjnych powstał zespół teatralny im. A. Fredry. Zespół w kwietniu wystawił sztukę Leona Kruczkowskiego „Odwety”.

Na akademii pierwszomajowej zespół z Domu Harcerza obok wielu tańców wykonał historyczny układ zwany „drabantem konińskim”. Tancerze wystąpili w strojach kujawskich borowiaków. Z okazji święta odbył się rajd motocyklowy na trasie Konin-Turek-Koło-Konin. We wszystkich urzędach, instytucjach, zakładach pracy i szkołach zbierane były podpisy pod Apellem Światowej Rady Pokoju przeciw wszelkim wojnom niosącym ludziom śmierć.

W maju zmieniono nawierzchnię ulicy Mickiewicza, pokrywając asfaltem „kocie łby”. Pół litra wódki gatunkowej kosztowało 37,80 zł.

W lipcu w auli LO urządzono wystawę nawiązującą do tradycji rewolucji 1905 roku, na której zaprezentowano dokumenty, przedmioty i wyroby ludzi zamieszkujących Wschodnią Wielkopolskę od najdawniejszych do współczesnych czasów.

W październiku w auli szkoły TPD otwarto wystawę Mickiewiczowską, na którą złożyły się prace dzieci poświęcone życiu i twórczości poety w związku z setną rocznicą jego śmierci. W tym samym miesiącu Amatorski Teatr Miejski, powstały w kwietniu tego roku i finansowany przez MRN, wystawił pierwszą sztukę „Imieniny pana dyrektora”. Zadebiutowano w Zagórowie, w listopadzie sztukę zaprezentowano konińskiej publiczności, później wystawiano ją w wielu miejscowościach powiatu konińskiego.

Materiały wybrał i opracował Lech Hejman.

Z życia Towarzystwa Przyjaciół Konina

Członek zarządu Lech Hejman wygłosił prelekcję o Święcie Niepodległości dla młodzieży Szkoły Podstawowej nr 4. Młodzież recytowała wiersze i śpiewała pieśni patriotyczne.

Współorganizowany przez Towarzystwo konkurs poetycki o nagrodę „Milowego Słupa” został zakończony. 20 listopada na uroczystym wieczornym poetycko-teatralnym, w sali imprezowej Biblioteki Miejskiej, wręczono nagrody oraz wyróżnienia. Uczestnicy i przybyli sympatycy poezji obejrzeli spektakl w wykonaniu aktora

Zygmunta Walerysia „Ja Żyd z Wesoła”.

Członka Zarządu TPK Lecha Hejmana podwójnie uhonorowano. Z rąk Marszałka Wielkopolskiego otrzymał nagrodę główną im. Andrzeja Wojtkiewicza za zasługi w bibliotekarstwie publicznym oraz tytuł „Człowiek ćwierćwiecza” w plebiscycie czytelników „Przeglądu Konińskiego”.

Sekretarz zarządu Zygmunt Kowalczykiewicz napisał ciekawą książkę „Konińskie epizody” (patrz recenzja niżej).

**Towarzystwo Przyjaciół Konina
życzy PT Czytelnikom
zdrowych, szczęśliwych i rodzinnych
świąt Bożego Narodzenia**



Images Copyright © 2000 DigiTouch

„Konińskie epizody”...

„To swoisty kalendarz przeszłości. To opisanie faktów z życia miasta. To spacer w przeszłość, wyznaczoną datami szybko uciekającego czasu.”

Autor tomiku Zygmunt Kowalczykiewicz, pisząc te słowa we wstępie, wybrał wiatr z żagli ewentualnym recenzentom, bo zwiąże, treściwie i logicznie przedstawił zawartość myślową swojej ostatniej książki.

A poświęcił ją niemal w całości konińskim rzemieślnikom, którzy notabene obchodzili w tym roku 75-lecie swojej działalności. Opisał dzieje rzemiosła w Koninie od „korzeni”, co dodaje opowieściom patyny i mądrej dojrzałości.

Mnie zaś zauroczyło opowiadanie o ratowaniu ksiązek podczas okupacji przez Jurka Majewskiego i jego kole-

gów. Zaskoczyło mnie, że znam bohaterów od tak dawna, a dopiero teraz dowiaduję się o ich pięknej akcji.

Wędrując po mieście prosimy rozglądać się wnikliwie i próbować odnajdywać te resztki, które Z. Kowalczykiewicz stara się ocalić od zapomnienia.

Chcę jeszcze dodać, że jak zwykle współpraca z Jankiem Sznajdrem zawocowała kolekcją doskonałych w formie i dowcipnych w treści charakterystycznych rysuneków. Wydaje mi się nawet, że w rycinie podpisanej „u fryzjera” w odbiciu lustrzanym można rozpoznać samego Mistrza Jana.

GORLIWIE zachęca do przeczytania
Stanisław Sroczyński



Agnieszka Kaszuba, Konin

Ludzie, których poznajemy
stają się częścią nas samych

Ludzie, których poznajemy
zamieszkują w naszej duszy

Poznając dobrych ludzi
sami pragniemy stawać się lepsi

Dzięki ludziom, których kochamy
lepiej poznajemy samych siebie

Wobec ludzi, których poznaliśmy
już nigdy nie będziemy obojętni

Czasem wydaje mi się,
że to my stwarzamy innych ludzi
a oni stwarzają nas...

Janusz Mądrowski, Konin

„Ucieczka z Konina”

Spaceruję
Po betonowym mieście wyrosłym na węgielnej skale
I przecięte przez zielono błękitną wstęgę wody
Biały bigBen wskazuje mi godzinę, kiedy wsiałam
Do czerwonego autobusu by uwolnić się
Przerzających spojrzeń szklanych okien wieżowców
Jadę na południe by zacerpnąć świeżą bryzę z ciepłych jezior
I usłyszeć plusk cumy zrzucanej by płynąć dalej
By uleczyć rozdygotane dusze.

Wiersze nadesłane
na XXIV edycję konkursu „Milowego Słupa”

KONINIANA

ADRES REDAKCJI:
62-50 Konin ul. Przemysłowa 9, tel. 243 77 00, 243 77 03

Redaguje zespół Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Konina
ISSN 0038-0893